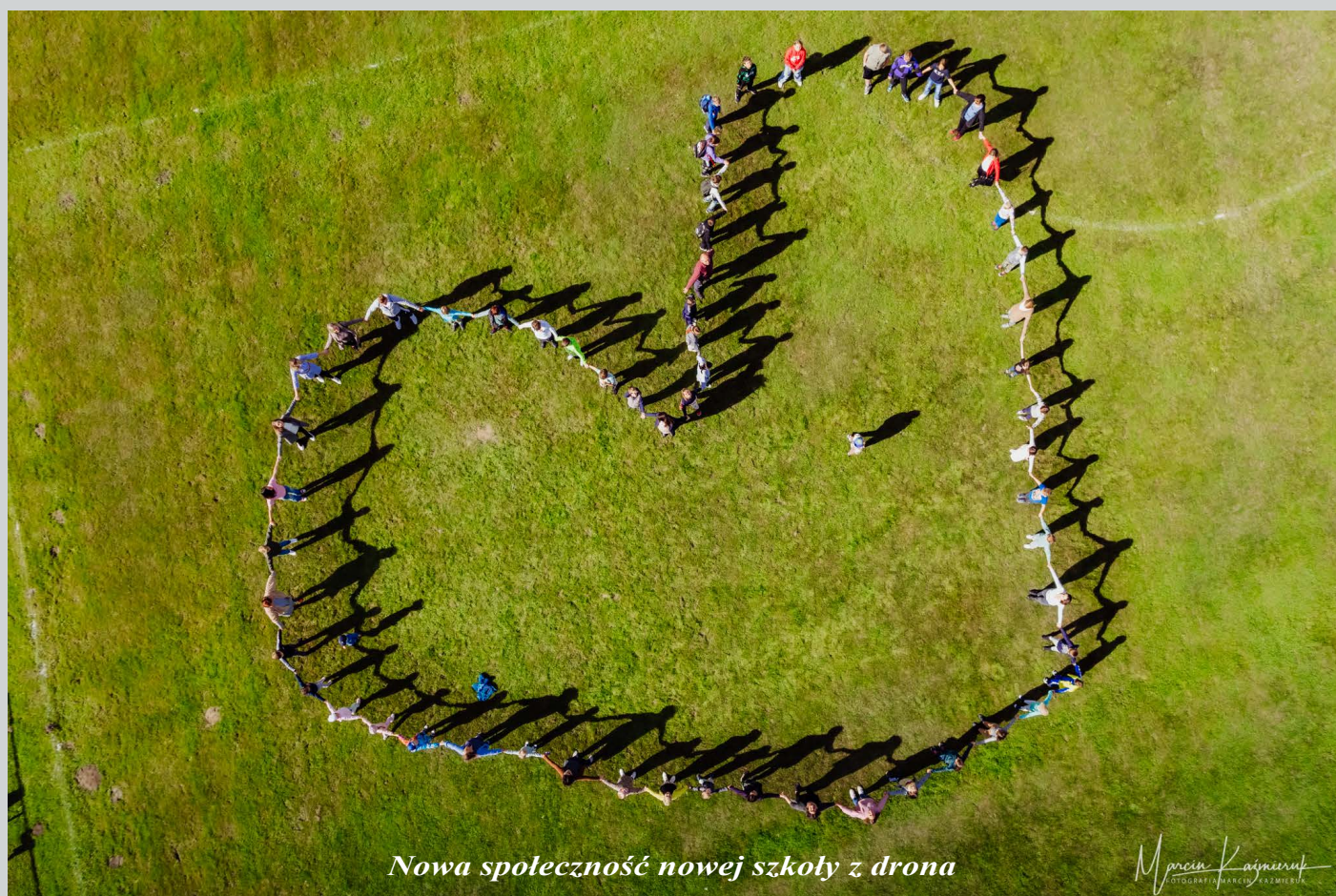


Gazeta Giebułtowska

Nr69

Kwartalnik Sympatyków Giebułtowa

Cena 7,00zł lipiec sierpień wrzesień 2024 ISSN 2299-1824



Nowa społeczność nowej szkoły z drona

W numerze m in.:

Łużyckie Lato i IV Izerski Złot Traktorów - relacje

Niepubliczna Integracyjna Szkoła Podstawowa im. H.Ch. Andersena w Giebułtowie

Wywiad z architektem Piotrem Janellim

Historia Kaczanówki (5)

Od Redakcji



Drodzy Czytelnicy,

w Waszych rękach jest kolejny numer Gazety Giebułtowskiej, w którym relacjonujemy najważniejsze wydarzenia ostatnich trzech miesięcy. Publikujemy także dalszy ciąg pamiątek z zesłania, co pokazuje, że interesuje nas nie tylko teraźniejszość, ale i przeszłość. Wszak historia jest nauczycielką życia i warto do niej sięgać. Przy doborze tematów bieżących uderza nas za każdym razem ilość pozytywnych inicjatyw podejmowanych przez mieszkańców i sympatyków naszej miejscowości. Informacje o nich, o osiągniętych sukcesach, dosłownie sypią się z facebooka. Fundacja Ditero, prowadząca nową szkołę, regularnie informowała o pracach remontowych w budynku szkoły, a właściwie o dokonanej w nim w ciągu dwóch miesięcy rewolucji, zapraszała na otwarcie szkoły, na festiwal tradycji i rodziny, zaprasza dorosłych teraz na zajęcia w jesienne popołudnia i wieczory... Pani Dyrektor Marta Tabaka obiecała stałą współpracę z GG, co bardzo nas cieszy. LZS Sudety poinformował na początku sierpnia o awansie do A-klasy, a Kwisowianie o zajęciu 1. miejsca na Festiwalu Sztuki Ludowej w Lubaniu oraz o nagrodzie specjalnej na Senioraliach w Jeleniej Górze. Facebook posiada także od niedawna nasza Parafia. Jesteśmy na bieżąco informowani o bieżących wydarzeniach, uroczystościach, pracach... Mieszkańcy Augustowa przygotowali wieniec dożynkowy, poświęcony na uroczystej Mszy św. 8 września, ukończony został remont elewacji kościoła, ukonstytuowała się nowa rada parafialna itd.

Wydawać by się mogło, że w sytuacji wszechobecnego Internetu GG przestaje spełniać swoją rolę. Wiemy jednak, że tak nie jest. Papier ma bowiem dłuższą żywotność niż nowoczesne media. Daje szansę na ocalenie pamięci. Może przekona, choćby po czasie, i pozytywnie nastawi, niedowiarków, pesymistów, tych, którzy mają zupełnie inny ogląd sytuacji, widzą zawsze przysłowiową szklankę do połowy pustą. Dla nas jest ona do połowy pełna, nie dlatego, że patrzymy przez różowe okulary. Potrafimy po prostu

porównać Giebułtów sprzed piętnastu lat i ten dzisiejszy, wiedząc, że tylko pracą, krok po kroku, można zmieniać rzeczywistość. Zmiany zachodzą powoli, z różnych względów, czasem też dlatego, że trzeba wykonać krok wstecz zamiast do przodu. A jednak goście, w tym byli mieszkańcy, je zauważają. Nieśpiesznie powstaje np. lapidarium. Niewielka grupa parafian od wiosny pracuje nad wystawą pamiątkowych tablic nagrobnych, niektóre z nich liczą po 350 lat. Ratując je, ocalimy pamięć o budowniczych naszego kościoła, naszej miejscowości, ocalimy nasze człowieczeństwo, stworzymy przy tym pewien rodzaj miejsca pamięci, co może być ciekawe także dla odwiedzających naszą miejscowość.

Wspaniałą facebookową informacją jest także zapowiedź Burmistrza Miasta i Gminy Mirsk A. Jasińskiego o planowanym kolejnym etapie budowy sieci wodociągowej i kanalizacyjnej w Giebułtowie o długości kolejno 1888 m i 1866 m i wartości ponad 4 mln zł. Cieszymy się już nową drogą prowadzącą od bloków w kierunku pałacu, jeszcze w trakcie budowy... Jeśli dodamy do tego bogatą listę przedsięwzięć tego lata i poczytamy, ile hartu ducha mają w sobie szaleńcy podejmujący się wyzwania dla normalnego człowieka nie do zrealizowania, zapalając przy tym innych – to serce rośnie z dumy i radości. Myślimy tu o rodzicach, nauczycielach, uczniach szlifujących, skrobiących ściany szkoły, malujących do późnej nocy jej klasy, o sponsorach, którzy te starania i tę pasję wsparli. Myślimy o Tomaszu mknącym po nocy na rowerze nad Bałtyk, o Piotrze i jego pomocnikach, którzy zamienili zwykłą, wymagającą remontu plebanijną ścianę w ścianę niezwykłą, w dzieło sztuki po prostu. Jeśli nazwiemy ich wyczyny heroicznymi, to nie będzie w tym przesady.

Oczywiście my też dostrzegamy niedostatki, niedociągnięcia, bałagan w paru miejscach, śmieci wyrzucane byle gdzie. Recepta na to jest jedna: praca, praca, praca... A co jeszcze lepsze i ważniejsze: współpraca. Aby po kawałku, metr po metrze, z głową, wyjętymi z kieszeni rękami, poprawiać otaczający świat... To jest oczywiście nasza wizja, nasz punkt widzenia, podzielany przez chyba wszystkich Was, inaczej GG nie miałaby czytelników...

Milej lektury!



Redaktor naczelna, wydawca:

Danuta Alchimowicz (daal)

adres: Giebułtów 51, 59-630 Mirsk

e-mail: gazeta.giebułtowska@gmail.com

Skład, grafika, zdjęcia: Antoni Alchimowicz



✕ ✕

Nie muszę mówić, że w słońcu było chyba z 700 stopni Celsjusza (w cieniu może 690). W trzy godziny dotarłem do Iłowej, gdzie zrobiłem krótki *pit stop* na zakup płynów. I dalej gładko poszło do Żagania – średnia po 90 km to 26.2 km/h, czyli dobrze – jak na mnie. Ale nawigacja za miejscowością Żagań zrobiła mi psikusa i pomyślała: *Puszczę go przez las i ścieżki łkowe....* – jak pomyślała, tak zrobiła. Na szczęście po 10 km znowu asfalt – hurra. Tu druga przerwa – ta na jedzenie. Po dobrej bułce z witamina mi ruszyłem w kierunku miejscowości Dąbie, gdzie dotarłem już nocą. Wcześniej przejechałem tzw. białą drogą, czyli tzw. kocie łby z jasnego kamienia, a jak dołożymy do tego noc i strome wzniesienie, to można sobie wyobrazić, ile przymiotników zyskała moja nawigacja! Teraz miało być lepiej – prosta droga i mały ruch na trasie do Krosna Odrzańskiego. Tam na stacji paliw wypilem dobrą kawę, zjadłem frytki i zapiekanek... Nawet nie wiecie, jakie to pyszne po jedenastu godzinach pedałowania! I tu miałem kryzys

Po Radzie Pedagogicznej, która skończyła się ok. godz. 14 dnia 28 sierpnia 2024 r., pojechałem (samochodem) do domu, przebrałem się, spakowałem i bez chwili namysłu ruszyłem gonić swoje marzenie. Godzina 14.44 środa – okazała się początkiem mojej, chyba największej przygody (tzn. oprócz rady). Wsiadłem na rower (górski) i zacząłem pedałowac w kierunku Lubania, potem Węglińca gdzie – jak każdy kierowca wie – od pół roku trwa remont mostu i droga jest nieprzejezdna. Ale jako typowy Polak pomyślałem: Co ? Ja nie przejadę? Rowerem ?? No i.... nie przejechałem. Ale dzięki uprzejmości tubylców – mieszkańców okolic mostu – dostałem pilotaż, jak ominąć most. Miły Pan powiedział, że budowlańcy ... (kilka niecenzuralnych słów) ... mogą. Przeprowadził mnie przez swoją działkę, kazał skoczyć (z rowerem) przez rów, przejść przez tory, a potem „To już masz drogę”. I tak było.



4



Nie muszę mówić, ile tym razem przymiotników zyskała moja nawigacja, ale po 45 minutach częstego pchania swojego roweru wyjechałem na asfalt i ruszyłem w kierunku Wyspy Wolin....Cudownie prosta droga, nowy asfalt, prawie zerowy ruch aut, w cieniu lasu, czego chcieć więcej...? Zepsute kolano ??? No właśnie, zepsuło mi się prawe kolano, zaczęło strasznie piec i kłuć, jednocześnie przy dociskaniu na pedał (okazało się jednak, że jak odwodzę je trochę na prawo, to boli trochę mniej. Choć mogłem wyglądać dziwnie.....to udało się – Wolin zdobyty! Stamtąd je-

chałem już na znaki drogowe – i to był błąd.... Ścieżka rowerowa była tak pokręcona i ciężka (szczególnie, jak ma się 400 km w nogach) że i ona zyskała parę przymiotników. Ale... O godz. 14:04 stawilem się w Międzyzdrojach, przy znaku, a 10 minut później – już na plaży.

Dystans - 468 km

Czas - 23 godziny 20 minut

Średnia prędkość - 24.3 km/h

Ilość wypitych płynów w ciągu drogi - 14.5 litra!

Ilość przymiotników wypowiedziana na nawigację - nieskończona!

Czy było warto? – Tak!

Czy powtórzyłbym ten wyczyn? Dzisiaj mówię – Nie! (Ale nie obiecuję)

PS. Dziękuję mojej Żonie, która ciągle czuwała na telefonie i była gotowa po mnie jechać nawet na drugi koniec Polski (Ja bym nie pojechał - po nocy ??)

Łużyckie Lato

Łużyckie Lato to oczekiwany przez mieszkańców, organizowany zazwyczaj w sierpniu, festyn wiejski, który kilka lat temu przybrał charakter kwesty. Przyświeca mu szczytny cel zebrania jak największej kwoty pieniędzy na kosztowne leczenie ortopedyczne małego Stasia Zimowskiego, mieszkańca Giebułtówka. Nie wyklucza to w żaden sposób realizacji innych celów letniego festynu, jakimi są dobra zabawa i integracja mieszkańców. Co ciekawe, festyn przyciąga także bardzo dużo osób z innych miejscowości, które chcą dołożyć swoją cegiełkę do tego muru wsparcia. A mur jest mocny, stanowią go m.in. sportowcy tacy jak mistrzyni piłki ręcznej z Mirska z osiągnięciami na szczeblu ogólnopolskim czy pił-



karze z Lubania i giebułtowskiego LZSu, mocykliści, strażacy, okoliczne koła gospodyń wiejskich, prywatni sponsorzy, mieszkańcy.

Sołectwo Giebułtów z sołtys Janiną Charchułą i Radą Sołecką we współpracy z rodzicami Stasia jest głównym motorem całego przedsięwzięcia. O jego skuteczności przekonuje zebrana w tym roku kwota **31 256,15 zł**, która została wpłacona na subkonto Stasia w Fundacji „Zdążyć z pomocą”.

Jakim ogromnym przedsięwzięciem jest Łużyckie Lato, widział każdy, kto 3 sierpnia br.,

ciąg dalszy str. 12



✕ ✕

Historia pewnej elewacji

30 000 zł na wkład własny. Ty też ten problem dostrzegasz... Czy dlatego zdecydowałeś się być nie tylko projektantem, wykonawcą, ale i sponsorem całego przedsięwzięcia?

W kwestii niedostrzegania przez nikogo do-
dam, że nie spotkałem się ze zgłaszaniem problemu
zrobienia czegoś z elewacją. Miałem nawet wrażenie,
że ten brak dbałości o elewację przełożył się też na brak
dbałości o scenę. Być może moją wrażliwość na tym
punkcie potęgowało to, że wcześniej wprzęgnąłem
się w budowanie sceny. Tak czy inaczej wymyśliłem,
że albo to miejsce jako spójna całość będzie dumą
parafii i podniesie poziom dbałości o nie, albo sce-
na z wolna podzieli los elewacji. Wybrałem wariant
pierwszy. Co do bogactwa naszej parafii, to jest ona
bogata, wielokrotnie tego doświadczałem w czasie
prac. Nie myślę tu o materialnym bogactwie – pie-
niądzach. O tym bogactwie stanowią serca ludzi, któ-
rych poznałem w czasie prac. Bogactwo są w stanie
wykrzesać w postaci energii i wigoru. Znam już wiele
przykładów takich serc. Bez nich raczej nie starczyło-
by mi samozaparcia i siły, by dokończyć dzieła. Nie-
którzy przychodzili na dzień, niektórzy na kilka dni,
ale zawsze czułem, że gdy ktoś jest obok mnie, to le-
piej mi się pracuje, nie tylko przy elewacji, ale lepiej
idzie mi praca nad samym sobą (mniej klnę, mniej się
denerwuję, błahostki nie wyprowadzają mnie z rów-
nowagi, etc.). Zdecydowałem się być projektantem,
współwykonawcą (wśród wielu innych, którzy mi
pomagali) i współsponsorem (bo właściwie sfinanso-
wał to dzieło budżet mojej rodziny – wspólnie z żoną

To nie jest tak, że ten dysonans nikomu nie przeszkadzał. Po prostu nasza Parafia nie należy do najbogatszych, a mimo to realizuje duże przedsięwzięcia. Trudno byłoby prosić parafian o zbiórkę środków na elewację plebanii w sytuacji, gdy remontowana jest za ogromne pieniądze elewacja kościoła, przedtem dach, a parafianie z trudem zbierają kwotę



zdecydowaliśmy, że będzie to nasz udział i dar dla parafii), zdecydowałem się, bo mogłem - bo Bóg dał mi taką możliwość. Dzięki Bogu mam taki status i kompetencje. Od siebie moją pracą chciałem dać wyraz wdzięczności Bogu za to, co mi dał. Chciałem tym dziełem też pokazać, że pracą - współpracą możemy w naszej parafii wiele rzeczy wynieść z poziomu wstydu na poziom dumy. I naprawdę nie pieniądze są w tym najważniejsze. Wiem to, bo na własnej skórze to odczułem. Odczułem, że jak się epatuje wigorem, pasją, szczerością intencji przysłużenia się innym w podniesieniu poczucia, że to ich i dla nich, to ludzie się dołączają, a nawet dokładają swoje środki. Tak było z tą elewacją, tak jest już z planowanym remontem schodów wejściowych do naszego kościoła. Istotne jest wzajemne stymulowanie się, wspieranie i przede wszystkim pokonywanie zniechęcania i niewiary w końcowy sukces.

Reasumując ten wątek odpowiedzi na pytanie: to Bóg jest sponsorem, On sprawił, że jestem zdrowy, że naszą rodzinę było stać na taki gest. A ja jestem tylko małym majsterkowiczem w jego wielkiej stolarni.

Przepięknie to powiedziałeś... Prace zaczęły się pod koniec maja i trwały praktycznie do 14 sierpnia, bo 15 sierpnia, gdy mieliśmy na scenie wieczór pieśni maryjnych, wszystko było praktycznie ukończone, a elewacja została przez Księdza Proboszcza uroczystie poświęcona. Czy przez te prawie trzy miesiące nie miałeś ani chwili zwątpienia? W tym czasie były dni przestoju, a nawet takie, gdy pracowałeś sam...

Oczywiście, że miałem chwile zwątpienia. Pierwsze już na kolejnym dniu po tłumnym zgłoszeniu się, gdy na pierwszym spotkaniu opowiadałem o planowanych pracach przy elewacji. Gdy przyszedł dzień rozpoczęcia prac, przyszła garstka pomocników. Na szczęście w tej garstce trafił się Marek, którego narzędzia i kompetencje sprawiły, że prace ruszyły z kopyta. Niestety z każdym dniem kolejnych prac ilość osób topniała do tego stopnia, że zostałem sam. Odbiło się to negatywnie na moim wigorze, na moim myśleniu, czy to ma sens, na myśleniu, czy ktoś tego chce, na myśleniu czy przypadkiem nie narzucam się innym ze swoimi uciążliwymi pomysłami. Myślę, że praca nad sobą polega też na tym, żeby takim stanom nie ulegać definitywnie - nie poddawać się. Myślę, że kluczem do tego jest, by w takich chwilach nie zadawać sobie pytania: **dlaczego** mnie to spotyka, ale **po co** mnie to spotyka, co mam zrozumieć, co przemyśleć, może co poprawić. Efektem pracy nad sobą było przesłanie: jeżeli postanowiłeś coś zrobić i uważasz, że jest to ogólnie dobre, to „rób swoje”, bądź wdzięczny, że możesz i nie patrz na innych. Pokornie „robiłem swoje”, resztę powierzyłem Opatrzności.



Piotr Janelli przy pracy

Wielokrotnie w trakcie takich zwątpień związanych z nawarstwianiem się różnych problemów skutkujących przestojem, czułem wyciąganą do mnie rękę. Polegało to na tym, że nagle doznawałem olśnienia i problem z jakimś detalem czy sposobem jego realizacji nagle się rozwiązywał, upraszczał. Dodatkowo po takich „olśnieniach” dostawałem nowej dawki wigoru. Wiele rzeczy, które na etapie myślenia, jak to zrobić, wydawały się skomplikowane w trakcie prac, przez kontakt, rozmowę czy pracę z innym człowiekiem – rozwiązywały się. Myślę, że Bóg mnie zna, zna moje granice. Pewnie za pośrednictwem naszego patrona św. Michała Archaniola w tych chwilach zbytniego zwątpienia przysyłał mi jakiegoś „pomocnika”, z którym udawało się rozwiązać dany problem, przejść dany próg. Te progi były spowodowane też tym, że pracę na elewacji musiałem godzić z pracą dla domu – tu w Giebułtowiu (w nim zawsze jest coś „pilnego” do zrobienia) i życiem, pracą zawodową we Wrocławiu. Wyrwanie godzin dla pracy na elewacji wiązało się z zaniedbaniami – odpuszczaniem na innych frontach. Często wiązało się też z wykorzystywaniem pracowników naszej firmy do przygotowania mi potrzebnego frontu robót na elewacji. Nie zawsze było łatwo. Ale zawsze czułem jakiś „sznurek”, który mnie trzymał, z jednej strony żebym nie zboczył z kursu, z drugiej żebym dotarł do celu. Częścią tego sznurka było uświadomienie sobie znaczenia i głębi słów z modlitwy do Naszego Ojca: „...chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, Panie...”. Ten „chleb powszedni” jest wszystkim, czego nam potrzeba, nie zjemy więcej niż przysłowiowy jeden bochenek chleba dziennie. Wszystko co ponad, okazuje się zbędne, a dążenie do tych wszystkich gadżetów tego świata (nowe auto, nowy telewizor, lepszy dom, najnowszy smartfon, etc.) to w dużej mierze „nadprogramowe” spalanie zasobów. Jakże często dążymy do tych gadżetów, przedkładając je ponad wszystko inne. Ponad czas na relacje międzyludzkie, ponad relacje zasilające naszego ducha czy nawet ponad nasze zdrowie. Przydatne jest uświadomienie sobie, że żąd-

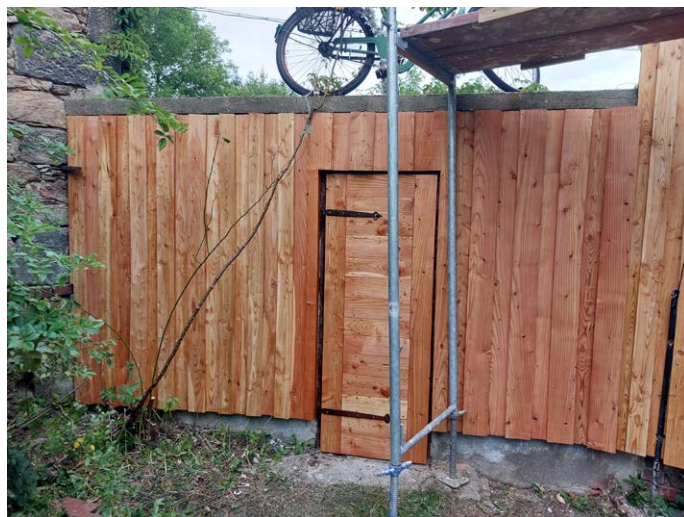
nego z tych „gadżetów” nie zabierzemy ze sobą tam, gdzie „pójdziemy boso”. Natomiast inwestowanie swojej energii czy zasobów (na miarę swoich możliwości i chęci) w rzeczy, które innym sprawią radość, uprzyjemnią im życie **pozostaje** (nawet, gdy nas już nie będzie). Myślę, że im dana rzecz oddziałuje na więcej osób i bardziej długoterminowo, tym większa jest szansa, że ta radość, to dobro zacznie w tych ludziach pączkować do tego stopnia, że będą chcieli je rozwijać i przekazywać kolejnym osobom. Taki przyświecał mi cel, w tym pokładałam nadzieję, i według mnie, to nadaje sens temu, co robimy.

Wracając do zwątpienia i opieki naszego patrona św. Michała Archaniola, pamiętam kilka takich szczególnych momentów zwątpienia, które udało mi się przejść dzięki konkretnym „pomocnikom”. Raz był to Łukasz z żoną i pasierbem, kolejnym razem Andrzej i Tadeusz. Takim „niewidzialnym pomocnikiem” (bo działał przy rusztowaniu, gdy nas przy elewacji nie było) był Sławek. Wszyscy oni byli szczególnymi sprawcami przywracania mi wiary w ludzi, w Opatrzność i mój sensowny udział w tym dziele. Szczególnie dobitnie czułam taką opiekę w okresie tuż przed wieczorem pieśni maryjnych. Na kilka dni przed terminem nie wierzyłem, że praca uda się ukończyć, ale za sprawą Andrzeja i Tadeusza, przy niewidzialnym udziale Antoniego (który podczas naszej nieobecności uzupełnił podest sceny w dziurze pomiędzy elewacją a sceną) oraz Rafała, który pomagał mi przy ostatecznym wykańczaniu elewacji, zdążyliśmy z pracami na przysłowiowe „5 minut” przed. Rafał to ten sam letnik, który w ramach któregoś tam urlopu u nas pomagał mi zadążyć scenę. Praca w tym okresie paliła się w rękach, właściwie można powiedzieć, że szła jak z płatka, wszystko raczej pasowało i się układało. Jak widać, nie tylko nam zależało na pięknej oprawie wieczoru pieśni maryjnych...

Przejdźmy do symboliki ściany. Bo to jest ściana „mówiąca”, co tylko potwierdza, że lubisz niebanalne rozwiązania. Należy przy tym zauważyć, że zastosowane elementy dekoracji nawiązują do dawnego tradycyjnego budownictwa na Pogórzu Izerskim i nie tylko. Dom z takimi promieniami na ścianie szczytowej jest np. w Krobicy.

Symbolika? Nie chciałam przesadzić z tym, że od początku przyświecała mi jakaś symbolika, ona wyszła niemalże mimochodem. Urastała wraz z postępem prac, od projektowych po ciesielskie. Zawsze, jak coś projektuję, to wprowadzam różne modyfikacje, warianty i czekam na moment, aż uzyskany obraz zacznie do mnie przemawiać, rezonować z moimi strunami. Tak było i w tym przypadku. Projektów na elewację miałem kilka, ale z wolna ten, który się zrealizował, zaczął dominować. Może

dlatego, że dla mnie jest on efektem najlepiej spawanych puzzli. Wśród tych puzzli pierwszy związany był z użytym materiałem na elewację. Od początku chciałem, by elewacja była z **drewna / z modrzewia**. Drewno nie tylko ociepla i humanizuje przestrzeń, ono ma bardzo głęboką symbolikę - jest idealnym zobrazowaniem życia rozumianego jako czerpanie soków w miejscu jego wyrośnięcia i życiem po tak widzianym życiu, czyli życiem po ścięciu drzewa i po przerobieniu go na wyroby z drewna (w tym przypadku na deski). Tą symbolikę można rozszerzyć na przydatność otoczeniu. Drzewo rosnące współpracuje z otoczeniem w miejscu swego posadzenia (czerpie soki, ale za to oddaje otoczeniu tlen, cień, schronienie, etc.) Natomiast to samo drzewo, mimo że ścięte, może (już jako wyroby z drewna) być użyteczne i cieszyć innych daleko poza miejscem, gdzie wyrosło - może rezonować szerzej i to przez bardzo długi czas. Obrazując to z innej strony, życie drzewa można odnieść do życia każdego z nas. Można nasze życie przeżyć biernie - biernie rezonować z otoczeniem (co zresztą nie będzie niezgodne z naturą). Ale jeżeli uwierzmy, że jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga, to łatwiej jest wyjść ponad dominujący schemat. Można nie czekać, aż naturalnie przestaną w nas płynąć soki, by na koń-



cu „uschnąć”. Możemy wynieść nasz byt na wyższe poziomy i gdy uznamy, że dojrzeliliśmy do tego, aby oddać siebie innym w „boskich wyrobach” (jednymi z nich są spontanicznie realizowane dobre uczynki). I tak (jak wyroby z drewna w przypadku drzewa) będziemy trwać jako budulec „boskich wyrobów” w przestrzeni życia innych długo po naszym odejściu. Kolejnym puzzlem był **pragmatyzm**, tutaj rozumiany jako łatwość obsługi elewacji. Rodzaj deski użytej na elewację jest wyrobem najbardziej dostępnym, a sposób ich montażu jest tak pomyślany, by deski były łatwo wymienne. Zaprojektowany sposób ułożenia desek był podporządkowany również temu, by nawet w największe ulewy woda ściekała po deskach bez ryzyka gromadzenia się w nieprzemysła-

ných załomach. Takie rozwiązanie wydłuży znacznie żywotność elewacji. Symbolika szczytu elewacji – to kolejne elementy puzzli. Jednym z nich jest wskazanie i podniesienie rangi miejsca, czyli plebanii - zaplecza duchowego naszego giebułtowskiego kościoła. Drugim puzzlem był związek zastosowanych rozwiązań estetycznych z naszym regionem. Efekt finalny to obraz sekwencji w ciągu zdarzeń, ciągu, w którym często czułem się narzędziem w „czyichś” rękach. Jak wspominałem, efekt promieni wygrał z innymi projektami, ale dalsze elementy – symbole na elewacji „ktoś” jakby wprojektowywał za mnie. Pierwsze odgórne prowadzenie poczułem, gdy zaczęliśmy układać deski w promienie. Szybko się okazało, że nie mogą się schodzić w jednym miejscu, bo ich grubość w zworniku jest za duża. Musieliśmy rozłożyć punkty zbiegania się desek w linii pionowej. To wymogło zastosowania listwy kryjącej połączenia desek – takiej listwy od szczytu do końca punktów styku desek. Od początku czułem, że w miejscu zbiegu desek szczytowych powinno być umieszczone serce. Promienie do serca / od serca to symbol miłości wysyłanej / miłości odbieranej. Konieczność zastosowania pod deską kryjącą tzw. odkapnika i wybór dla niego kształtu serca (w powiększonej skali do tego kształtu na desce) – **symbolu miłości** – dodatkowo spotęgowało efekt. Krzyż na elewacji...Podczas szukania w moim składziku najbardziej pasującej deski kryjącej natknąłem się na krzyż, który kiedyś zrobiliśmy w firmie jako podkład pod pisanie na nim ikony. Jego widok, sposób wykonania, materiał, od razu „zlepił” mi się z elewacją/deską kryjącą. Już nie wyobrażałem sobie, by tego krzyża na elewacji nie było. Przywiozłem na scenę i deskę, i krzyż. Deska wymagała nadania konkretnego kształtu. Wiedziałem, jakich regionalnych wzorów powinienem używać przy jej wycinaniu. Gdy znalazłem ich sekwencję (która do mnie przemawiała), dalej jakby ktoś za mnie rysował wzory na desce - ich rozkład, ilość, ich pomniejszającą się skalę. To wszystko działało się bez zastanowienia, szybko i bez zbędnych błędów. Efekt był zaskakujący. Listwa jako całość zgrała się i za-

grała z elewacją, jakby instrumentami, z którymi się kojarzy: skrzypce, wiolonczela czy gitara (skojarzenie Księdza Krzysztofa). Miejsce na krzyż samo się ukonstytuowało. Pasował tylko w najwyższym miejscu. Rozłożone na desce symbole (krzyż na górze i serce na dole) nadały sensu nie tylko desce, ale i całej elewacji. Z krzyża spływa miłość do serc tych, którzy z krzyżem rezonują - żyją z nim w harmonii. a od tych serc dalej w przestrzeń. Symbolami harmonii są właśnie te symetryczne kształty wycięte na bokach deski. Budka dla ptaków nie była powieszona w ramach jakiegoś wielkiego symbolu, jest po prostu wyrazem pewnego zadośćuczynienia temu, że zamknęliśmy ptakom możliwość robienia gniazd w styropianowej elewacji. Budka wykonana jest z resztek desek używanych na elewacji. Jeżeli udało mi się tak połączyć puzzle, że grają ze sobą i poruszają „struny” ludzi na nią patrzących, to będzie to świadczyć, że dobrze zrobiłem to, co do mnie należało...

Czy potrafisz wymienić imiona wszystkich „chłopaków”, którzy Ci w realizacji tego projektu pomagali? Ksiądz Proboszcz przeczytał ich nazwiska na jednej z Mszy św. ... Nie zapomnijmy też o osobie, która bezpłatnie wypożyczyła rusztowanie na wiele wiele tygodni...

Mogę wymienić, ale poza tymi, które już wymieniałem, nie znam imion wielu z nich, tym bardziej nazwisk. Było ich oczywiście więcej. Człowieka od rusztowań już wymieniałem razem z innymi w poprzednim mailu (wywiad był prowadzony on-line). Ale nie wymieniałem, a znam Krzyśka, który wielokrotnie przychodził, i był bardzo pomocny. Nie wymieniałem żony Łukasza - Kryspiny i jej syna Gabriela, też byli bardzo pomocni, nie wymieniałem Tomka i Pawła Musztafów, którzy dowieźli kamienie na murek i „podmurówkę”. Był też nauczyciel w-fu, ale też nie pamiętam imienia. Z Antonim pracowali też synowie Todka. Każdemu, kto był, jestem ogromnie wdzięczny

(daal)

W Krzeszowie

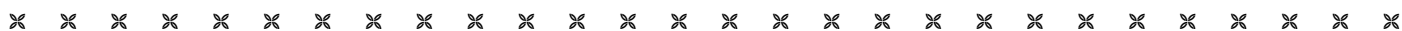
Dnia 28 września 2024 r. pojechałam z lektorami i ministrantami z Gryfowa Śl. oraz z ks. Łukaszem do Krzeszowa na dzień skupienia Służby Liturgicznej Diecezji Legnickiej. W Krzeszowie było ponad 400 ministrantów, lektorów, ceremoniarzy. Była to okazja do modlitwy i umocnienia wspólnoty. Spotkanie rozpoczęła katecheza bp. Piotra Wawrzynka o znaczeniu Jubileuszu 2025 i nadziei z nim związanej. O godz. 12.00 w bazylice była Msza św., na której zostali ustanowieni nowi ceremoniarze.

O godzinie 14.40 była Droga Krzyżowa, którą prowadził ks. Mateusz Małeńczuk. Rozważania były na temat św. Dominika Savio. Na zakończenie została wręczona przedstawicielom wszystkich parafii modlitwa „Przed służeniem i Po służeniu” z dodatkową modlitwą do św. Dominika Savio. Pielgrzymka była bardzo udana.

Kamila Grotnik

W ostatnim numerze GG nie podaliśmy nazwiska K. Grotnik jako autorki zdjęć z procesji Bożego Ciała - przepraszamy.

Wydarzenia

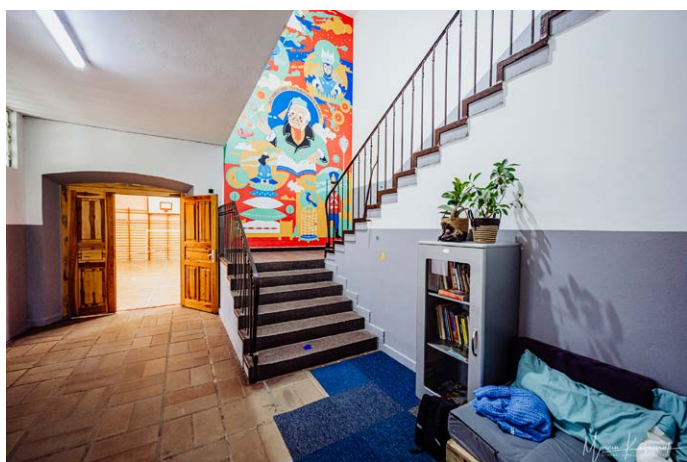


Niepubliczna Integracyjna Szkoła Podstawowa im. Hansa Christiana Andersena w Giebułtowie

Bycie użytecznym dla świata to jedyny sposób na bycie szczęśliwym.

Hans Christian Andersen

Wielu ludzi mówiło, że nie uda się, że pomysł jest utopijny. Jednak drugiego września 2024 roku rozpoczęła swoją działalność Niepubliczna Integracyjna Szkoła Podstawowa imienia Hansa Christiana Andersena w Giebułtowie. Spełniło się marzenie wielu osób od lat zaangażowanych w działania Fundacji Ditero, wspierającej osoby neuroróżnorodne w diagnozowaniu i rozwiązywaniu ich problemów oraz w ich rozwoju.



Gdyby historię o początkach szkoły miał opowiedzieć jej patron, to pewnie zaczynałaby się od słów: Dawno, dawno temu, w malowniczo położonej wiosce u podnóża Gór Izerskich narodził się odważny i ambitny pomysł... Pomysł zrodzony w głowach odważnych i ambitnych ludzi, marzących o stworzeniu



bezpiecznej przestrzeni, w której wszystkie dzieci, bez względu na orzeczenie o potrzebie kształcenia specjalnego lub jego brak, będą mogły rozwijać swój potencjał. Tą przestrzenią miała być szkoła, w której potrzeby każdego dziecka będą zauważane, a ich zainteresowania i talenty wspierane. Szkoła, w której zdobywanie wiedzy opierać się będzie bardziej



na współpracy i wspólnym realizowaniu projektów, niż niekończącej się rywalizacji i konkurowaniu. I wreszcie szkoła, w której nie będzie granic między "te" dzieci i "nasze" dzieci, a wszystkie dzieci będą czerpały od siebie nawzajem, wyrastając na pewnych siebie, rozumnych, wrażliwych na drugiego człowieka i, przede wszystkim, szczęśliwych ludzi. Zarząd fundacji, jej pracownicy, rodzice podopiecznych połączyli swoje siły, by stworzyć właśnie taką przestrzeń. W ciągu dwóch miesięcy dzięki ogromnemu zaangażowaniu wolontariuszy oraz dzięki włączeniu w działania szkoły biznesu lokalnego udało się zreali-



zować następujące przedsięwzięcia:

- wyremontować wszystkie sale lekcyjne,
- odmalować wszystkie korytarze,
- gruntownie odremontować świetlicę, wraz z przebudową, wymianą podłogi i wszystkich mebli,
- stworzyć toaletę dla osób niepełnosprawnych,
- gruntownie przebudować toalety, podwajając liczbę umywalek, wymieniając muszle klozetowe na nowe i budując nowe kabiny,
- wymienić nawierzchnię na sali gimnastycznej na profesjonalną sportową wykładzinę obiektową,
- wyremontować gabinet psychologa,
- odrestaurować ogródek przy przedszkolu,



- przygotować salę doświadczania świata i salę integracji sensorycznej.

We wszystkie zadania zaangażowało się wiele życzliwych osób. W ostatni weekend wakacji, podczas generalnego sprzątnia szkoły po remoncie, odzew po stronie mieszkańców Giebułtowa przerósł oczekiwania pomysłodawców szkoły.

Obecnie do szkoły uczęszcza sześćdziesięcioro jeden dzieci z gminy Mirsk i innych okolicznych gmin. Placówka realizuje podstawę programową z rozszerzonym językiem angielskim. Ponadto uczniowie mają do wyboru szeroką paletę zajęć do-

datkowych: robotykę, zajęcia artystyczne i sportowe. Dla dzieci, które zgodnie z orzeczeniem o konieczności kształcenia specjalnego, wymagają dodatkowych terapii, organizowane są różnego rodzaju zajęcia wspierające: terapia SI, terapia psychologiczna, trening umiejętności społecznych, terapia logopedycz-



na, pedagogiczna oraz zajęcia komunikacji wspomagającej. Dla rodziców oraz mieszkańców okolicznych miejscowości została przygotowana bogata oferta za-



jęć artystycznych (m.in.: szycie, haftowanie, linoryt, zajęcia florystyczne) oraz sportowych (siatkówka, pilates). Wszystkie zajęcia w ofercie szkoły są bezpłatne, przed samym otwarciem zjawili się wielu mieszkańców Giebułtowa.

Dominika Wączek, nauczycielka języka polskiego





w sobotę przybył w godzinach popołudniowych na giebułtowski plac spotkań, mieniący się kolorami stoisk, straganów, namiotów. Te ostatnie rozkładane były w ulewnym deszczu w dzień poprzedzający imprezę, nie oferujący żadnego pogodowego okienka.



Po placu spacerował najprawdziwszy Kubuś Puchatek, chętny do zrobienia sobie zdjęcia z uczestnikami festynu, dzieci bawiły się na dmuchanym placu zabaw, sportowcy rozgrywali mecze, Kwisowianie grali i śpiewali. W licznych konkurencjach wygrywano nagrody, losowano fanty. Nikt nie zaznał ani głodu, ani pragnienia, bufety były bowiem znakomicie zaopatrzone, a wieczorem można było nawet potańczyć. Piękna słoneczna pogoda sprzyjała organizatorom, gościom i... Stasiowi. On także był uczestnikiem wielu zabaw i bohaterem tego dnia.



Mama Stasia, Pani Ewa Zimowska, podziękowała na facebooku wszystkim, którzy przyczynili się do zorganizowania imprezy z głównym motywem pomocy Stasiowi, tym, którzy piekli i gotowali, i tym, którzy obsługiwali imprezę do późnych godzin wieczornych,



publikując bardzo długą listę nazwisk osób prywatnych, sponsorów i nazw instytucji, oczywiście także tym, którzy festyn odwiedzili, wyrażając tym samym wolę pomocy, wolę wsparcia inicjatywy.



Łużyckie Lato to jedna z giebułtowskich imprez, których nie możemy się powstydzić. Pokazuje ona, że potrafimy współpracować, nie szczędząc swojego czasu i sił, gdy ktoś jest w potrzebie. Naszą dumą jest też samo miejsce, z panoramą Gór Izerskich, w otoczeniu wspaniałej przyrody, pięknie przygotowane przez organizatorów.



IV Izerski Zlot Traktorów w Giebułtowie

Impreza pod nazwą „zlot traktorów” zapisała się na stałe w kalendarzu kulturalnym naszej miejscowości. „Kalendarz kulturalny” nie jest sformułowaniem ani przesadnym, ani na wyrost. Kultura obejmuje bowiem wszystkie działania człowieka, ukierunkowane na współpracę, budowanie więzi, utrwalanie pamięci o dziedzictwie kulturowym itd. Przesłanki te doskonale spełnia tytułowa impreza. Jest i współpraca, jest dbałość o dziedzictwo i tradycję, i to taką w bardzo konkretnym rozumieniu, gdy trzeba doprowadzić traktory i traktorki do tzw. używalności, a przy tym jeszcze wypucować je na błysk. I oczywiście współpracować z organizatorami i ze sobą, otworzyć się na społeczność. Dowodem tego, że społeczność jak najbardziej docenia tę imprezę są przyznawane co roku środki z funduszu sołeckiego. Zarezerwowano je także na piątą edycję w roku 2025.



Zainicjowana cztery lata temu przez mieszkańców Giebułtówka Zofię i Ryszarda Pyplaczów impreza znalazła się na lekkim wirażu, gdy Państwo Pyplaczowie postanowili w tym roku zrezygnować z roli jej liderów. Na szczęście wiraż został pokonany, a traktory „pociągnęła” rodzina Musztaków z Panem Wiesławem Kuczmą z Augustowa w ścisłej jak dotychczas współpracy z Sołectwem Giebułtów i OSP Giebułtów przy wsparciu Burmistrza Miasta i Gminy Mirsk Andrzeja Jasińskiego oraz Burmistrza Leśnej Szymona Surmacza i patronatem medialnym TV Świeradów-Zdrój. Całe szczęście, że tak się stało, bo my, mieszkańcy Giebułtowa – chyba w większości – nie wyobrażamy sobie września bez traktorów. W tym roku impreza odbyła się w sobotę 21 września, a pogoda kolejny raz dopisała.

Zlot miał swój początek na placu spotkań już o godz. 9.00. Wtedy to dokonywano rejestracji uczestników. Otrzymywali oni specjalne tabliczki, potwierdzające oficjalnie udział w zlocie. Następnie wyruszono na trasę w barwnym trak-



torowym korowodzie, w kilku przypadkach z roześmianymi pasażerami na przyczepach. Trasa wiodła przez Wolimierz, Leśną, Giebułtów, Mirsk i z powrotem do Giebułtowa, co nastąpiło o godz. 15.30. W Leśnej uczestnicy zostali przywitani poczęstunkiem przy Ratuszu. Prezentacja pojazdów odbyła się także przy Ratuszu w Mirsku. Szczęśliwie przeprowadzony przejazd traktorów świętowano na placu spotkań w Giebułtowie. Tu wręczono nagrody, tu odbyły się poczęstunek, grill i niekończące się rozmowy pasjonatów starych maszyn rolniczych i pojazdów w ogóle. Przewidziano także atrakcje dla dzieci. To wróży dobrze na przyszłość, że i wśród maluchów znajdą się przyszli pasjonaci motoryzacji, którzy będą potrafili spędzać czas aktywnie i twórczo.



W Zlocie uczestniczyło 29 traktorów, tym razem ich właścicielami byli mieszkańcy najbliższej okolicy, sięgającej najdalej do Piszczowic.

Zlot traktorów ma ogromne znaczenie dla promocji Giebułtowa. Musimy je dlatego jako społeczność dalej ciągnąć. Dobrze, że mamy liderów, którzy ten ciężar biorą na siebie.

(daal)

✕ ✕

traktorzystka za pud pszenicy i trochę ziemniaków; jak brudna stała, wskoczyła weń, a ja nie mogłam powstrzymać łez na ten widok). Przy lampie naftowej stajennej („fonarze”), kładliśmy się na naszych pryczach i snuliśmy marzenia o polskim chlebie. Któregoś dnia przez okno zobaczyliśmy na szczycie „sogroby” przed naszym domem Marysię Januszewską, która przysłała nas odwiedzić. A my nie mieliśmy czym jej poczęstować, tylko jeden kawał chleba krążył między nami, jak fajka pokoju. Opatrzność czuwała nad nami. W bardzo krytycznym momencie zjawiała się Kazaszka, odsprzedając nam trochę ryżu (przekonaliśmy się, jakie to cenne ziarna). Zdobyliśmy trochę otrąb, można z nich było ugotować zupę i upiec placki. Potem znów jakieś wiaderko bardzo drobnych ziemniaków ratowało nas od głodu. Zawsze w krytycznym momencie znalazło się jakieś wyjście – wyraźna Opieka Boża. Dziewczęta Myszka i Hanka Mossorówny (były to nastolatki; z Myszką widywałyśmy się po wojnie w Londynie; byłam z nią i jej mężem na „Eugeniuszu Onieginie”) zaczęły również głodować i chorować, mieszkając u Kazachów. Zabraliśmy je więc do siebie. Basia Wolica i Blanka Paciorkowska (były to zaprzyjaźnione Żydówki ze Lwowa) zamieszkały również z nami.

Nadszedł marzec 1941 r. W dzień św. Grzegorza bardzo ciepły wiatr zaczął gwałtownie rozpuszczać zwały śniegu. W czasie roztopów, gdy niesie się coś ciężkiego, nogi zapadają się głęboko w mokry śnieg. Poruszać się trudno – zamiast iść do przodu upada się pod niesionym ciężarem, a cóż dopiero, gdy się jest głodnym i osłabionym. Śnieg ginął szybko i wkrótce nasi panowie mogli znów przynieść z poczty paczki z Polski, co uratowało nam życie.

Nadal w kołchozie brak było perspektyw zarobku. Dowiedzieliśmy się, że w pobliżu znanego nam kołchozu Woroszyłowa istnieje dobrze prowadzony kołchoz ruski „Czerwona Dolina” im. Czkałowa, w którym można pracować i coś zarobić. Postanowiliśmy więc w sześć osób zdolnych do pracy fizycznej (Zbyszek ze mną, dwie panny Mossorówny, Basia i Blanka) ucieczkę z kołchozu Stalina. Przebrnęliśmy rzeczkę za kołchozem, Zbyszek przeniósł mnie na plecach. Oddaliliśmy się już sporo od kołchozu, gdy nagle dogonił nas Kazach na koniu i kazał zawrócić, twierdząc, że NKWD czeka na nas w kantorze. Zawróciliśmy, by się przekonać o jeszcze jednym kłamstwie i inną drogą, tym razem okrężną (35 km), maszerowaliśmy cały dzień, by stawić się u prezydenta kołchozu Czerwona Dolina, sympatycznego Aloszy Siemionowa. Alosza obiecał nas zatrudnić, wobec czego wyszukaliśmy sobie dość czyste izby u kołchoźników i nazajutrz rano przystąpiliśmy do pracy – do czyszczenia zawałonej stajni, w której za-

legał śnieg, gnój, gruz całymi metrami. Była to robota, która się potem nigdy kołchozowi nie przydała, pewno chciał nas Alosza wypróbować i dał nam za zadanie wyczyszczenie „Stajni Augiasza”. Próba się udała się – przekonał się, że Polacy potrafią pracować, posługując się łomem i łopatami. Następnie wysłał nas na step, gdzie odbudowywano stare, pochodzące jeszcze z carskich czasów stajnie. Lepiliśmy tzw. „samany”, czyli rodzaj cegieł z gliny mieszananej ze słomą, które wysychały na słońcu i służyły do budowy. Mnie przypadło mieszanie koniem gliny podlanej wodą, gdyż Alosza orzekł: „ty Kat’ka kawalerist” (przydała się znajomość ulubionej konnej jazdy). Następne prace wypadły nam na sianokosach.

Upłynęło parę tygodni. Zarabialiśmy po 700 gramów chleba, odkładając trochę dla rodziny. Tęskniłam już bardzo za dzieckiem i rodziną. Wyprosiłiśmy oboje ze Zbyskiem dwie pary zaprzężonych byków i nocą pojechaliśmy do kołchozu Stalina, by niepostrzeżenie wywieźć rodzinę. Dzieci siedziały uszczęśliwione na ułożonych wysoko na wozach naszych pryczach i bambetlach, Wojtek pomagał nam swoim głosikiem „cob cobe”. Nie tak łatwo było poganiać bykami bez lejców. Zdawały sobie doskonale sprawę, kto nimi pogania, niedaleko już od kołchozu stanęły jak wryte, nie reagując na nasze groźne nawoływania. Na szczęście od strony kołchozu nadjechali kołchoźnicy, których wysłał Alosza, przerażony, że tak długo zaprzęgów nie zwracamy. Po zainkasowaniu paru rubli krzyknęli na byki, które ruszyły żwawo. Przed sprowadzeniem rodziny wynajęłam izdebkę u Rosjanki, która sama z dziećmi zamieszkiwała w kuchni. Izbę wybieliłam białą gliną, którą można było nakopać w stepie opodal, w trzech kolorach. Baba ⁵⁾ skopała ziemię pod domem i posadziła wiadro ziemniaków. Za pracę otrzymywaliśmy nadal po 700 gram chleba. Staszek Suchodolski zaczął pracować w kantorze jako „szczotowód” (księgowy). Hania, moja siostra, woziła mleko po udojach do sąsiedniego kołchozu, by przepuścić je przez centryfugę (odtłuszczającą mleko wirówkę). My ze Zbyskiem dalej pracowaliśmy na sianokosach, a potem na „drogostroju”. Praca



Katarzyna, lata 30. XX w.

przy budowie tej pseudo-szosa była kontynuacją zeszłorocznej. Odjechaliśmy daleko w stronę Kokpiekt bykami. Nasz kołchoz miał narzuconą normę budowy półtora kilometra drogi. Było nas 15 robotników, w tym nasza szóstka uciekinierów. Odcinek następny za nami wykonywał kołchoz Woroszyłowa (m.in. Wika Weiss i Marysia Januszewska). Praca była bardzo ciężka – od 4-tej rano do 10-tej w nocy z przerwą w czasie obiadu. Normą było przerzucanie na nasyp 10 „kubametrów” (metrów sześciennych) ziemi, którą bokami orały byki. Ziemię woziło się taczkami, a w końcowych pracach nawoziliśmy na nasyp szuter z rzeczki pobliskiej. Spaliśmy na płaszcach na ziemi pokotem, jedni koło drugich. Po prawej stronie miałam za sąsiadkę Marusię traktorzystkę. W moich nogach spał brudny Abram, na „pieczce” Alosza, przewodniczący kołchozu. Przerwę odpoczynku południowego wykorzystywaliśmy na mycie się w rzeczce, do której trzeba jednak było trochę pomaszerować. Idąc śpiewaliśmy – Marysia Januszewska miała bardzo dobry głos. Zbyszek natomiast, dawny uczestnik chóru Gieburowskiego, uczył nas słów do wielu znanych pieśni. Najwięcej utkwiła mi pieśń *„Po nocnej rosie płyn wdzięczny głosie”*, gdy posłyszę tę melodię zaraz „drogstroj” mi się przypomina. Na obiad była zawsze tradycyjna „łapsza” (kluski) z kotła na baraninie. Zaoszczędzony chleb odsyłaliśmy przy okazji do kołchozu dla rodziny. Znów żarła tęsknota za dzieckiem i za swoimi. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej kazali nam nadprogramowo pracować jeszcze w nocy, by przyspieszyć zakończenie szosa. Ruscy przejęci byli wojną, ale wyczuwaliśmy, że chętniej widzieli-



Kazimiera i Józef Skwarczyńscy z synami, Lwów 1916 r.

by u siebie Hitlera niż Stalina, by pozbyć się ustroju. Wykonywaliśmy ostatnie prace nawoząc szuter, Zbyszek dzielnie obliczał normy mierząc wykopaną ziemię; niestety pomimo naszych wysiłków musieliśmy jeszcze potem dopłacić do naszego utrzymania, które pochłonęło nasze zarobki. Niemalym incydentem w ciągu tych tygodni był któregoś dnia atak komarów,

które nas obsiadły do tego stopnia, że nie można było wcale pracować i zamiast kopać trzeba było odganiać się łopatą cały dzień. Przytrafił mi się też niemiły wypadek – taczki zsunęły mi się z deski ułożonej nad wykopem, poczułam silny ból w kręgosłupie, który potem minął, lecz niestety skutki tego dały znać przez całą następną zimę, a bóle krzyża nawracając się pozostały do późnych lat. Nadszedł wreszcie upragniony powrót do kołchozu, do swoich.

Tymczasem obie matki gospodarowały w wynajętej chacie, dzieci bawiły się na podwórku, często sąsiadka Szumska (Ukraińcy, z czasów carskich) wołała je na próg swej chaty i częstowała pierożkami pieczonymi w piecu piekarskim („lepioszkami”). Miedzy kartoflami kwitł i dojrzewał „poślon” (rodzina psiankowatych, uważana u nas za chwast). Dzieci zbierały jego czarne jagody, podobne do borówek, a sąsiadka napełniała nimi pierożki. Były to właściwie jedyne owoce przez 6 lat naszego pobytu, nie licząc kawonów i dwóch czy trzech bodajże jabłek, przywiezionych raz przez Staszka Suchodolskiego spod Alma Aty. To były jabłka dla Hani, która była wtedy w ciąży z Marysią. Wojtek i Janka rzucili się i pożarli skórki. Powoli trzeba się było uczyć sposobu gotowania w piecach piekarskich („pieczkach”) oraz pieczenia chleba na drożdżach chmielowych. Sztuka nie lada było rozpalenie ognia pod bryłą kiziakową, wspartą na dwóch innych. Gdy ogień ogarnął już wszystkie trzy, dokładało się więcej kiziaków i dopiero w pewnej odległości wstawiało się na „rohaczu” (kij zakończony uchwytem) „czugun”, czyli garczek żeliwny nakryty „skoro wodą” (rodzajem żeliwnej patelni bez rączki). W czugunie gotowało się zupę lub zapiekało – nieczęsta gratka – ziemniaki z mięsem. Albo dynię zalaną mlekiem, w czasie zaś jednej ciężkiej zimy – wykopane w polu zmarzniete buraki. Można też było smażyć czy piec na korowodzie, wsuwając ją również rohaczem. Tych wszystkich ruchów trzeba się było nauczyć, co nieraz początkowo kosztowało wiele wysiłków i trudu, a nawet raz skończyło się rozlaniem zupy w piecu i zagaszeniem roznieconego z trudem ognia. Polepa wewnątrz w piecu musiała być równa, więc trzeba było od czasu do czasu wślizgnąć się całym sobą do „pieczki” i polepę wygładzić gliną. Zawsze robiłam to sama, do dziś dzieci pamiętają moje bose nogi wystające z pieca. W jesieni, po otrzymaniu zarobionego za „trudadni” (dniówki) zboża, po zmieleniu go, zaczęłyśmy piec chleb żytni na chmielowych drożdżach. Tylko zresztą w tym pierwszym roku w Czerwonej Dolinie zarobiliśmy sporo ziarna (11 kwintali, czyli 1100 kilogramów). Obok „pieczki” w naszej chacie była i płytka kuchenna, na której można było ugotować po naszemu, ale z garnkami były kłopoty.

Po powrocie z „drogostroju” zaczęłam wozić mleko zamiast Hani, która została zatrudniona wraz ze Staszkiem w kantorze, jako jego pomoc. Po każdym wieczornym udoju musiałam władować bańki z mlekiem na wóz, zaprząć byka (nawet jeździłam krową) i jechać do sąsiedniego kołchozu Woroszyłowa (4 km), by odwirować mleko, oddać śmietankę i powrócić do naszego kołchozu z chudym mlekiem. Najgorsza była samotna noc w stepie, obawa przed wilkami, które potrafiły atakować zwierzęta, strach by pojazd nie popsuł się. To zaś zdarzyło się raz i tylko cudem, za pomocą sznurów, które miałam przy sobie, zdołałam sobie jakoś poradzić, ale musiałam z pełnym, nieodchudzonym mlekiem cofnąć się do kołchozu, co nie wzbudziło entuzjazmu władzy. Przygoda skończyła się pomyślnie pewnie dzięki opiece synka, którego mogiłkę mijałam co dzień. Przyjacielem również był (jeśli była pełnia) księżyc, w którego towarzystwie czułam się pewniejsza i odtąd stale mu to pamiętam. Do dnia dzisiejszego spoglądam z rozczuleniem na księżyc w pełni. Raz jednak była na szczęście niewinna przygoda przy skrzyżowaniu drogi z traktem, którym jechał samochód ciężarowy. Kierowca zatrzymał się niespodziewanie i napędził mi strachu idąc w moją stronę. Noc była ciemna, a ja miałam 25 lat. Usiadłam wysoko na bańce z mlekiem, chwyciłam mocno bicz, chcąc się nim bronić, lecz on podszedł i spytał grzecznie, czy jedzie w dobrym kierunku do Ust-Kamieniogorska, po moim wyjaśnieniu podziękował i odszedł. Wożenie mleka miało tę zaletę, że przynajmniej można było się go napić, zaspokoić głód, chociaż w pierwszym roku w Czerwonej Dolinie nie dokuczył nam jeszcze bardzo. Urodzaje, jak na tamtejsze strony, dopisały w tym roku. Pracując w cztery osoby (Staszek, Hania, Zbyszek i ja) zarobiliśmy sporo „trudadni”, za które po zbiorach otrzymaliśmy te około 11 kwintali zboża, które można było zemleć lub zamienić na ziemniaki. Z tłuszczami i mięsem było gorzej, czasem wymieniono się jakieś ciuchy, czasem zarobiła coś Munia, która zaczęła szyć i wyrabiać na drutach chusty i swetry dla tubylców, w czym pod jej kierunkiem pomagałyśmy obie z Babą. Zakisiłyśmy kapustę na zimę, kapusta tamtejsza była w jakimś wspaniałym gatunku. Trzeba też było myśleć o opale na zimę. Kołchoz ruski zapewniał kiziaki dla pracowników, które przydzielał za zarobione „trudadni”, ale trzeba też było narznąć karaganu (kłujące krzewy rosnące na stepie). Chodziliśmy więc w wolnych od pracy chwilach na step, by w rękawicach rznąć sierpami, a była to ciężka praca. Nacięliśmy 700 snopów, które potem pomógł nam zwieźć bykami Omar-bek, niezawodny przyjaciel.

Była to postać wymagająca specjalnego wspomnienia, do dziś myśl o nim rozrzewnia i roztkliwia.

Wysoki, chudy, brzydki, o ogromnym nosie (niczym Cyrano), rycerski. Mieszkał na skraju posesiadła z matką Dżumardychą, pogodną starszą Kazaszką, zakwieconą w charakterystyczny sposób, w szerokim „kojloku”(sukni). Omar-bek potrafił przygotować przed przybyciem Hani na bazę uprząż (gdy woziła mleko). Potem wielokrotnie pomagał nam w sytuacjach wymagających silnej, męskiej ręki. Dżumardycha zaopatrywała nas w jajka, rozmawiała z nami łamanym językiem rosyjsko-kazachskim, ale rozumieliśmy się, gdyż była pełna dobroci. Jej portrecik narysowała Baba ⁶⁾ i pozostał nam drogą pamiątką.

Rysunki swoje wykonywała Baba na kawałkach dykty, gdyż nie było papieru. I tak powstały portreciki Dziadziów Skwarczyńskich ⁷⁾, Janki, Wojtka, Mossorówien oraz naszej chaty.

- 1) szwagier Katarzyny, mąż siostry Anny
- 2) Józef Skwarczyński, teść Katarzyny, zmarł na zesłaniu 1.10.1940 r., 5 miesięcy po przyjeździe
- 3) Zbyszek Włodarczyk, przed zesłaniem pracownik dworu w Kaczanówce
- 4) Kazimiera Skwarczyńska ze Ścibor-Rylskich, teściowa Katarzyny, 1880-1952; zmarła w Lublinie, gdzie zamieszkała po powrocie z zesłania z Katarzyną i wnuczką Janiną
- 5) Janina Jaruzelska, ur.1891 w Kaczanówce, zm.1981 w Sopocie, mama Katarzyny, nazywana przez najbliższych „Babą”
- 6) Janina Jaruzelska była absolwentką Instytutu Sztuk Pięknych we Lwowie
- 7) teściów Katarzyny, Kazimierzy i Józefa

cdn



Po sowieckiej agresji na Polskę 17 września 1939 r., której 85 rocznica przypadała w tym roku, Związek Radziecki przeprowadził cztery deportacje Polaków w głąb kraju, m.in. do Kazachstanu. Rodzina Katarzyny Skwarczyńskiej brała udział w drugiej deportacji, rozpoczętej 13 kwietnia 1940 roku. Objęła ona m.in. przedstawicieli ziemiaństwa, a w szczególności bliskich internowanych. W wielu wypadkach podróż bydlęcymi wagonami zbiegała się w czasie z ich śmiercią. Deportacje miały za zadanie zniszczenie śladów polskiej państwowości na zajętych przez ZSRR terenach. (daal)

Giebułtów znany i nieznan



Któż jak Bóg

Tytułowe słowa są tłumaczeniem hebrajskiego imienia Michał, kojarzone głównie ze św. Michałem Archaniołem. „Któż jest Bogiem, jeśli nie Pan?” – w słowach psalmu (Ps 18:31) zawarty jest cały sens chrześcijaństwa. Nic dziwi zatem, że archanielskie zawołanie „Któż jak Bóg” jest tytułem „Dwumiesięcznika o aniołach i życiu duchowym”, wydawanego przez Zgromadzenie św. Michała Archanioła z siedzibą w Markach koło Warszawy. Redaktorem naczelnym pisma jest ks. Mateusz Szerszeń CSMA, a zastępcą – Herbert Oleschko.

W nr 2 (2024) w rubryce „Poczet parafii św. Michała Archanioła”, str. 34, ukazał się krótki rys naszej parafii autorstwa Herberta Oleschki, a w numerze 5 (2024) na str. 25-27 w rubryce „W anielskim kręgu” artykuł tego samego autora pt. „Ze św. Michałem w świat, czyli z Kaczanówki do Giebułtowa”. Opisuje on peregrynację obrazu św. Michała Archanioła po drugiej wojnie światowej. Obraz zabrali ze sobą wysiedleni z Kaczanówki (obecnie Ukraina) mieszkańcy, Polacy. Wraz z nimi trafił on do Giebułtowa, a imię św. Michała Archanioła stało się wezwaniem utworzonej oficjalnie w 1972 r. Parafii rzymsko-katolickiej w Giebułtowie.

Pan Herbert Oleschko jest m.in. angelologiem. W teologii chrześcijańskiej angelologia jest częścią dogmatyki, zajmującą się bytami duchowymi, jakimi są anioły. Trzeci artykuł jego autorstwa, dotyczący Giebułtowa, obierze za temat instalację rzeźbiarską



z figurami diabła i anioła, znajdującą się przy schodach przy domu nr 134 w pobliżu kościoła. Herbert Oleschko – mieszkaniec Krakowa – uznał ten temat za frapujący i godny naukowego opracowania.



Odpust ku czci św. Michała Archanioła

Uroczystość św. Michała Archanioła, patrona naszego kościoła i parafii, przypadła w tym roku w niedzielę, co zgromadziło większą niż zazwyczaj liczbę wiernych. Mszę św. odpustową o godz. 13.00 odprawił ks. dr Andrzej Fila z Lubania. Na uroczystość przybyło również wielu księży z dekanatu Gryfów Śl. (daal)

✕ ✕

1. kwota pieniędzy na jakiś cel

2. nauka o aniołach

3. ogół symboli

4. fundacja prowadząca szkołę w G.

5. miasto nad Bałtykiem

6. ściana zewnętrzna budynku

7. projektuje domy

8. osoba i rzecz musi mieć swoje

9. lubi majsterkować

10. niezgodność, różnica

11. część mowy określająca cechy

12. duński pisarz i poeta

13. niesie pomoc bez zapłaty

14. dobry czyn

15. wirówka mlecarska

16. opis wydarzenia, wycieczki

17. spółdzielnia rolnicza w ZSRR

18. wystawa kamieni pamiątkowych

19. miasto lub maszyna tkacka

20. wyspa na Bałtyku

(daal)

**Wszystkie dotychczasowe numery „Gazety Giebułtowskiej” są dostępne
w wersji elektronicznej w Jeleniogórskiej Bibliotece Cyfrowej
pod adresem: jbc.jelenia-gora.pl**

„GG” w wersji papierowej w liczbie po 2 egz.

*jest archiwizowana także w Bibliotece Narodowej w Warszawie
i Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie*



IV Izerski Zlot Traktorów

